

Ks. Alfons Józef Skowronek

GDY ŻYCIE MA SIĘ KU WIECZOROWI. W ZADUMIE NAD CHOROBA I ŚMIERCIA

Wobec lekarzy – a w jeszcze większym stopniu w rozmowach z duszpasterzami – wierzący chorzy wyznają często z ubolewaniem, że żyją spowici w ciemnościach. Stany te ogarniają ludzi chorych i starych, choć dawać się mogą we znaki także młodym. Księża zalecają wtedy spotęgowanie życia modlitwy i spotykają się nieraz z reakcją, iż pacierz w tej intencji nie jest mocną stroną ludzi wystawionych na cierpienia. A przecież, można by zauważyć, że w tej sytuacji uginającej się pod brzemieniem choroby i starości mogliby swe niedomogi ofiarować Bogu. Byłaby to wzniosła modlitwa, choć pewnie i dość wyniosła.

Któż nie zna poczucia lęku i zwątpienia? Czyż Jezus sam z krzyża nie wołał: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mt 27,40). Tak brzmią ostatnie ziemskie słowa Syna Bożego. My sami możemy więc tym śmielej i donośniej artykułować się podobnie. Lecz już w następnym momencie dokonujemy korekty naszego myślenia: „Nie, to jest zły moment. Boże mój, Ty jesteś przecież wszędzie, nawet w gęstwie mgły, która uniemożliwia ostre widzenie czarnej rzeczywistości”.

Zasadniczy nasz problem sprowadza się do nazbyt silnej koncentracji uwagi na cierpieniu. Bóg nie jest złośliwy. Gdyby sam je stworzył, byłby istotą z gruntu sarkastyczną. Geneza cierpienia była i pozostaje tajemnicą, lecz życie częstokroć jest nią wypełnione po brzegi. Droga do Boga jakże często prowadzi szlakiem cierpienia. Retorycznie dotknąć można by tu pytania: Jak przepastna jest otchłań holokaustów powodowanych przez dar wolności, którym obdarzony został Człowiek?!

Wiemy, że Jezus umierał na krzyżu. Miał 33 lata. Wycierpiał katusze. Powiadamy, że cierpiał za nasze grzechy, ponieważ znosił te udręki dla naszego zbawienia i że prowadzi nas do zmartwychwstania, ponieważ po kaźni krzyża bezpośrednio wznosił się do nieba. A zatem i do nas apeluje bez ustanku, abyśmy, wyprzedzając siebie samych, wznosili się ku Niemu. Tym, czego „brak” męce Chrystusa, jest nasze cierpienie. Bóg miłuje nas, którą to miłość my rozpoznajemy w Jego drodze krzyżowej. Wszyscy razem powinniśmy więc kroczyć szlakiem wytyczonym przez krzyż.

Chrystus nie przyszedł na świat, by wyjaśniać tajemnicę cierpienia. Paul Claudel (1868-1955) mówił: On przyszedł po to, aby je napełnić swoją obecnością.

Wspaniała to postawa! Nie zjawiał się w celu ogłaszania uczonych interpretacji na temat cierpienia, lecz do jego przyjęcia na siebie, On je przeżywał i sam w cierpieniach wręcz „zamieszkiwał”, wyposażając je w głęboki sens. Jesteśmy wezwani do zespolenia naszych krzyżów z Jego męką. Do tego sprowadza się istota prawdziwej czci oddawanej Krzyżowi. Ponieważ dla chrześcijanina krzyż jest jego godłem, winien pod tym znakiem wkraczać na niezliczone obszary potrzeb braci i sióstr, zwiastując im, iż nigdy nie mają prawa do pogrążania się w desperacji, ponieważ Bóg jest personifikacją ufności, Bóg jest miłością, Bóg jest miłosierdziem, Bóg jest dobry, Bóg jest tolerancyjny, Bóg to uosobienie respektu dla drugich. To tylko niektóre ze szczytów, po jakich chrześcijanin może wznosić się ku Bogu. Pamiętać o tym powinien każdy chory i starzejący się człowiek. W tej perspektywie trudno zrozumieć przygnębiające westchnienie znanej francuskiej pisarki Colette (1954): „Boże mój! Że starzenie się jest meblem aż tak niewygodnym!”

W tym miejscu sam przez się dochodzi do głosu sygnał słany ze strony śmierci, z którą żaden z nas się nie rozminie. Oddalając od siebie nieuchronnie zbliżającą się z każdym dniem śmierć, w czym wspomagają nas niebywałe postępy dzisiejszej medycyny, osiągamy wreszcie wiek, w którym stajemy się ofiarą nader prymitywnej fantazji: codziennie pragniemy prezentować się jako ludzie młodzi. Wielu zdaje się dzisiaj podzielać przekonanie, że rozpoczęcie pięćdziesiątego roku życia jest czymś w rodzaju inauguracji kolejnego odmłodzonego etapu naszej egzystencji. I oto w tym punkcie Ewangelia występuje z otrzeźwiającym manifestem: „Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie!” (Łk 12,20). Znane nam są brutalne wypadki śmierci. Śmierć na szosie, zawałowe kryzysy serca. To przyszło nieoczekiwanie, otoczenie jest zaskoczone i dezorientowane, rodzina nie potrafi się odnaleźć. Bywa, i wcale nie tak rzadko, iż po niespodziewanej sytuacji zagrożenia życia uświadamiamy sobie fakt jakże zwiewnej jego kruchości i krótkości: „Jaki ze mnie głupiec, ja mogłem umrzeć, nie zdając sobie z tego sprawy!”

Jeżeli istnieje zdarzenie, które na pewno nas nie ominie, jest nim śmierć. Nawet stuletni starzec miewa sny, że do końca jego życia droga jest daleka. Śmierć przekreśla bezlitośnie wszystkie nasze projekty, ułudę i doczesne marzenia. Żyjemy dzisiaj w czasach systematycznie wzrastającej spirali długiego życia. Nadzieję tę podbudowują sukcesy w zwalczaniu chorób zakaźnych, „klinicznie czystego” umierania i „dyskretnie” wszystko regulujących instytucji pogrzebowych. Mimo ogromnej skali nieszczęśliwych wypadków drogowych śmierć nie jest już więcej bezpośrednio codzienną rzeczywistością, która dezorganizuje bieg naszego życia tak, jak bywało to w dawniejszych czasach. Średniowieczna sztuka drastycznie przedstawiająca obrazy „Tańca śmierci”, jak i aluzje do niego współczesnego malarstwa nie wywołują u nas przerażającego strachu i nie skłaniają ku refleksjom. Śmierć zbierająca na naszych oczach swe codzienne żniwo wcale nas nie porusza, nie znajduje się w żadnym kontekście do naszej własnej śmierci. I nic

w tym dziwnego, że wiara w życie pozagrobowe zbudowana na zmartwychwstaniu Jezusa znika ze sceny naszej uwagi, a nawet przestaje być witalnym centrum naszej wiary.

Trudno przeczyć takiemu ujęciu sprawy. Przeciwnie: byłby to nawet ważki argument przeciwko wierze, gdyby należało twierdzić, że w kontekście śmierci i protestu ludzkiego życia przeciwko śmierci wiara nie ma nic do powiedzenia. Przeciwnie – sprawą bez reszty „logiczną” jest orędzie Ewangelii, że wiara krzese również nadzieję na pełnię „życia” wiecznego.

W kontekście wypychania problematyki śmierci z pola naszej świadomości rolę odgrywa także podejrzana taktyka podszyta swego rodzaju arogancją, która sprowadzać się może do tego, że na wskroś osobiste pytanie w kwestii głęboko osobistego losu po śmierci sprowadzone zostaje do „drobnomieszczańskiego egoizmu”, który zbawienia szuka wyłącznie w przemianach społecznych, dla przykładu w następującym modelu myślenia: Pytania wokół śmierci i pośmiertnego losu zmarłych są – wedle kanonów diamentu (materializmu dialektycznego) – swego rodzaju zamaskowanym protestem przeciwko społecznie uwarunkowanemu uciskowi wymierzonemu bezwartościowemu życiu przeciętnych ludzi. Konsekwencja: zmienieć porządek społeczny, a pytania wokół życia po śmierci same staną się bezprzedmiotowe. Wówczas każdy zwykły obywatel będzie się cieszył tym stylem życia wielkopańskiego, na jakie dzisiaj „pozwolić sobie” może tylko klasa uprzywilejowanych.

Te i podobne myśli snułem, zwiedzając przed kilkoma tygodniami muzeum narodzin Karola Marksa w Trewirze (Trier) nad Mozelą, pierwszym i najstarszym biskupstwie Niemiec. Nieodparcie ożywiło się wspomnienie z moich studiów na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Były to lata 1949-1954 – ponury okres stalinowskiego socrealizmu w Polsce, którego haniebnym dla nas szczytem było upokarzające zamknięcie przez polityczną władzę komunistyczną wymienionego Wydziału Teologicznego w Krakowie, od kilkuset lat zdomowionego pod Wawelem – działo się to w owym roku 1954. Rozpanoszony reżim dokonał tego sromotnego aktu konspiracyjnie, bez nagłaśniania i jednocześnie także w odniesieniu do fakultetu teologii na Uniwersytecie Warszawskim. W ostatnim roku moich studiów „na Jagiellonce” musieliśmy jeszcze, my, adepci do kapłaństwa, słuchać wykładów z marksizmu-leninizmu. Była to dla nas przygoda wręcz satyryczno-rozrywkowa. W dużej sali wykładowej Collegium Novum (bodaj nr 56), wypełnionej czernią ponad dwustu znieawidzonych sutann, wykłady te prowadził pewnie jakiś najęty agent z miejscowej komórki partyjnej, który ciężko zpeszony mówił do ściany pustoszejącego audytorium. Na podniesienie się z owego głębokiego upadku reżimowej indoktrynacji musieliśmy czekać jeszcze przez całe 25 lat, do roku 1989. Utkwił mi w pamięci pewien szczegół z krakowskich Plant: siedłem w sutannie i nagle zobaczyłem pewnego pana, który spacerował w odwrotnym kierunku i zobaczywszy mnie, wyraźnie zwolnił kroku, zbliżył się do mnie, znacząco się uśmiechnął, pokiwał głową i ode-

zwał się do mnie: „Proszę pana, oni pana i pana podobnych zniszczą!” (oni, to znaczy komuniści). Nie zniszczyli, choć jeszcze przez ćwierć wieku czyhali, lecz się nie doczyhali.

Wróćmy do tematu „śmierć”.

Mocno chciałbym zaakcentować, że śmierć *omija nas* tylko w jednym jedynym wypadku: kiedy wierzymy w zmartwychwstanie, gdy wierzymy w inne życie. Chrześcijanin zawsze współczuje temu lub tej, która sądzi, że w śmierci i ze śmiercią wszystko się zatrzymuje i kończy.

Niektórzy – a nawet bardzo wielu – utrzymują, że śmierć jest najpiękniejszym dniem naszego życia. Tak opiewa jedna z największych prawd naszej wiary, zresztą nie tylko chrześcijańskiej. Wyzbyć się wiary we wskrzeszonego Chrystusa znaczy: Boga nie uważać więcej za Boga żywych. I dlatego stawka jest niezmiernie wysoka wszędzie tam, gdzie szukamy odpowiedzi na pytanie o życie zmarłych. Wskrzeszenie Jezusa i nadzieja na nasze wskrzeszenie to nic innego jak ostatnia konsekwencja płynąca z Jezusowego orędzia o bliskości Boga. Jeżeli jest Bogiem życia, wtedy śmierć nie może mieć ostatniego słowa. Gdyby ostatnie słowo należało do niej, wówczas o Bogu Jezusa moglibyśmy już tylko w zakłopotaniu milczeć. *W obliczu tego Boga śmierć nie ma ostatniego słowa, lecz tylko słowo przedostatnie.* Św. Paweł głosi tę prawdę z całym radykalizmem: „Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara” (Rz 15,13n).

W tym miejscu dotknąć trzeba starego zarzutu, który opiewa, że od momentu głębokiego odkrycia odpowiedzialności chrześcijanina za świat, nie milknie wciąż powtarzana obiekcja, iż wiara w zmartwychwstanie stoi na przeszkodzie zdecydowanej opcji na rzecz świata, gdyż relatywizuje ten świat, uczy pojmowania świata jako „padołu płaczu i nędzy”, przez którą to otchłań chrześcijanin musi przebrnąć, lecz której nie musi brać poważnie. W odpowiedzi należy podnieść: temu, kto nawet z głębi serca „interesuje się” życiem wiecznym, swym *własnym, osobistym* życiem wiecznym, a stąd także znaczeniem wskrzeszenia Jezusa – człowiekowi takiemu w żadnym wypadku nie musi brakować energii do konstruktywnego kształtowania życia na ziemi. Pomówienie takie dyskredytują jednoznacznie dane historyczne. Właśnie tam, gdzie wiara we wskrzeszenie zmarłych była żywa – wewnątrz i poza Biblią – dźwignią postępu byli ludzie, którzy świat przemieniali i posuwali naprzód historię. Kto chrześcijaństwu nie wierzy, uwierzyć powinien islamowi. Jego masywnie rzeczowe wyobrażenia o raju, który po śmierci oczekuje na ludzi, nie stały na przeszkodzie, lecz inspirowały do imponujących osiągnięć kultury, w obliczu których chrześcijanie średniowiecza odczuwali wyraźne kompleksy niższości. Prawdziwa, porywająca wiara we wskrzeszenie umarłych objawia się wszędzie tam, gdzie chrześcijanie w pełni zaangażowania zwracają się ku światu, aby go przekształcić w świat Boga i ludzi.

O chorobie, śmierci i umieraniu można by bez końca. Spójrzmy na zagadnienie oczami Jana Pawła II, mojego akademickiego nauczyciela w Lublinie i Krakowie. Wykładał katolicką naukę społeczną. Studencki indeks z Jego podpisem i oceną przechowuję jak relikwię. W jego duchu, Papieża, możemy powiedzieć, że nasze życie jest procesem rodzenia, wydawania życia na świat. Osobiście byłem przejęty ostatnimi dniami Papieża. Było w tym coś niezwykłego. Jego publiczne umieranie, na oczach świata, niektórzy chrześcijanie uważali za fenomen niestosowny. Przez 25 lat pontyfikatu przekazywał nam słowa życia, w końcu umierał otwarcie na naszych oczach. Postawę tę uważam za akt bardzo zdrowy, nie było w nim nic chorobliwego. Dawniej papieże umierali ukrycie, w odosobnieniu. Jan Paweł II miał odwagę żyć i umierać przed nami aż do końca. Sądzę, że był to wymowny gest interpelacji zaadresowany do świata.